



Wstęga moebiusa

Napisał: Henryk Sroczyński

Stał przy krawędzi toru.

„Powtórzyć to jeszcze raz” – myślał – „te diabelne pętle, przejechać bezbłędnie, wolno, aby móc wszystko przeanalizować, ale to nie będzie to samo, coś takiego można nagrać na magnetowid i potem sobie puszczać, tylko co z tego, to nie będzie wówczas naprawdę, jak wtedy, gdy rusza się i mrużenie drzemiającej maszyny przeradza się w ryk silnika na pełnych obrotach, ogłuszający ryk drapieżnego zwierzęcia i wszystko dzieje się tak szybko, że nie ma nawet czasu myśleć. Zanim zechce się pomyśleć, już trzeba wiedzieć, znać odpowiedź, i to jest cały problem, bo zwalniając można się wiele nauczyć, ale czy pętle wyjdą akurat takie same jak wtedy, gdy będzie się na maksymalnej prędkości?”

Wiele rzeczy można sobie przeanalizować, wytrenować na sucho, ale tu jest ślizg, przychepność kół, takie albo inne wyważenie, musi się czuć samochód fizycznie, trzeba złąć się z nim w jedno...”

– „Dobrze, więc jeszcze raz” – pomyślał.

Stał na białym paśmie betonu w niebieskim, lśniącym kombinezonie i z troską patrzył na zaczynający się w tym miejscu ostry łuk zakrętu. Machnął ręką i wszedł do kabiny. Ruszył wolno, oglądając uważnie zewnętrzną krawędź toru.

Rozpędzał się.

Po następnym okrążeniu pojawił się już z dość dużą prędkością, nie tak dużą, oczywiście

cie, aby nie wziąć zakrętu gładko, prawie od niechcenia, minimalnie tylko redukując gaz, ale to nie zadowoliło go, każdy to potrafi, więc znowu zaczynało się to samo co zwykle: szybko, jeszcze szybciej...

„...i wtedy możesz być pewien, że za którymś razem się nie uda” – przemknęło mu przez myśl, ale to był tylko trening: pierwszy zakręt w lewo o 180°, lekko w dół, ciągle w dół, potem prosto, tu można było jechać szybko, potem w górę w prawo 180°, cały problem w tym, żeby zmieścić się w wąskich zakrętach, kiedy siła odśrodkowa wyrzuca człowieka na zewnątrz, pół biedy jeśli w górę, najgorszy był ten zakręt w dół. – Rozpoznawał tor jak przeciwnika, wgryzał się w niespodzianki, które mogły go spotkać...

Jeszcze szybciej... Osiągnął już prędkość, kiedy wszystko zaczyna się zlewać i jest w tym coś nierealnego, czas rozciąga się, jak z gumy, każde drgnięcie kierownicy ciągnie się bardzo długo, a raczej jego skutki wybiegają zbyt daleko w przyszłość, a żeby móc je przewidzieć, a przyszłość jest konkretną wstęgą białego betonu, ukazującą się jak projekcja filmu, przyszłość jest tym, co stanie się z samochodem po wejściu w zakręt...

Przeleciał, trochę w ślizgu, zniosło go prawie pod zewnętrzną bandę toru, mógł być zadowolony, to było prawie tak, ale wiedział, że nawet to może nie wystarczyć, wyhamował, zdjął hełmofon i wysiadł z samochodu. Cofał

się ku łukowi zakrętu i kiedy doszedł do początku, zaznaczył na bandzie krzyżyk kawalkiem kredy.

– Trzeba będzie powiedzieć chłopakom – pomyślał – żeby któryś stanął dokładnie w tym miejscu z białą szmatą, inaczej nie zauważę...

Wgramolił się na powrót do pojazdu i z prychnięciem głośno od czasu do czasu na wolnych obrotach silnikiem odjechał nie śpiesząc się do boksów.

– No i jak? – zapytał mechanik.

– Cholerny tor...

– A samochód?

– Samochód w porządku, gorzej ze mną...

– Nie przejmuj się. Pojeździsz, przyzwyczaisz się...

– Coś jednak jest w tym torze...

Tankowanie było skończone.

– Jadę – powiedział.

– Poczekaj – tamten chwycił go za rękę. – Odpręż się trochę, masz czas...

– Mam tor tylko na dwie godziny, potem zaczyna Vermi.

– Nie możesz być taki spięty. Musisz być skoncentrowany, ale nie spięty.

– Kim ty właściwie jesteś – zapytał zdziwiony – mechanikiem od samochodów czy mechanikiem od ludzi?

– Znam się trochę i na tym, i na tym – uśmiechnął się tamten.

*

Znów siedział w kabinie i ruszał, prosto w słońce. Kolory, jeszcze tak krzykliwe przed chwilą, teraz drgnęły, różnobarwna taśma obrazów okolicy zamazywała się powoli, tworzyła coś nieokreślonego, płynną szarość bez konturów i granic, nawet ryk silnika oderwał się jakby i został z tyłu: wszystko zaczynało zlewać się w jedną całość, jak pojedyncze obrazki na taśmie filmowej, kiedy poruszają się z właściwą prędkością. „To jest chyba to – pomyślał – już nie poszczególne fragmenty, strzępy, tylko płynny harmonijny ciąg, ruch, życie, doskonałość, ale później, jeśli spróbować jeszcze szybciej, co to wówczas będzie: wyjście ponad życie?”

Czekał na pojawienie się miejsca, które mieli oznaczyć, teraz musiał zdjąć nogę z gazu, to

wiedział, ale nie wiedział jeszcze, z jaką szybkością może osiągnąć ten punkt, aby nie wypadł z toru, na ile może zbliżyć się do granicy, kiedy to, co jest pr a w i e niemożliwe, staje się z u p e ł n i e niemożliwe. Czuł, oczywiście, instynktownie, od jakiego momentu zaczyna się ryzyko, ale chciał stwierdzić dokładnie, na co może sobie pozwolić.

Wyniosło go, już prawie otarł się o bandę. „To nie ma sensu – myślał – wytracać szybkość zbyt wcześnie”. Chciał jechać jak najszybciej, ale tu była gdzieś nieprzekraczalna bariera...

Znowu zwijająca się wstęga rosła mu przed oczyma, zaczynał czuć zmęczenie jeżdżąc w kółko po zamkniętym obwodzie z nieustannie powtarzającymi się tymi samymi zakrętami, jakby nie istniało nic więcej. Było to monotonne, a przecież za każdym razem wymagało takiego samego napięcia uwagi, takiej samej koncentracji. Słyszał swój własny głos, dyktujący z magnetofonu prędkość i odliczający dystans, drobne poprawki, które nanosił na poprzedni zapis, nie miały już większego znaczenia, zdawał sobie sprawę, że niewiele więcej zdoła osiągnąć.

– Dobrze – mruknął – wystarczy.

*

– No i jak? – spytał mechanik.

– Chyba nic więcej nie da się zrobić.

– Też tak myślałem, ale teraz nie wiem...

– Po każdym okrążeniu byłeś lepszy, a po piątym stanąłeś na 23,05 i tak już się utrzymało. Z wyjątkiem trzech ostatnich.

– Inni mogą być lepsi.

– Pamiętaj, że właściwie nie walczysz z nimi, tylko z tym cholernym torem...

– Tak, wiem – przerwał mu – ale można chyba jeszcze coś zrobić... Tylko nie wiem jak.

Rozpiął zamek kombinezonu i ruszył wolnym krokiem, aby ukryć się przed słońcem w cieniu pawilonu.

*

Obserwował Vermiego. Samochód jak żuk przelatował z hukiem koło punktu startowego

umieszczonego w środku ósemki przy dolnym paśmie. Górne, wzniesione kilka metrów na żelbetowej konstrukcji, też zresztą było widoczne, cały tor był doskonale widoczny: gigantyczna ósemka, rzucona na wypaloną słońcem pustynię. Z oddalenia wyglądało to jak zabawka dziecinna, po której przelatował ruchomy punkt samochodu, ale to nie była zabawa, zbyt długo był kierowcą wyścigowym i zbyt wiele widział na torach. A ten tor był szczególnie dziwny. Niby nie było tu nic takiego, profile zaprojektowane przez najlepszych specjalistów, dobre zabezpieczenia, obok toru droga awaryjna dla karetka pogotowia i samochodów straży pożarnej, ale mimo wszystko coś wzbudzało niepokój.

Obserwował rywala tak, jakby za kierownicą siedział sam, z tą tylko różnicą, że nie musiał zwracać uwagi na prędkość, na wskazania obrotomierza, za to widział całość, nie tylko najbliższy odcinek trasy, wszystkie zmiany prędkości, wahania i chwile, gdy tamten zbyt szarżował, a potem raptownie musiał dusić gaz.

Ryk samochodu zbliżał się, narastał aż do bólu, potem cichł stopniowo, zbliżając się do zakrętu w lewo, tam Vermi zwalniał. „To samo” – pomyślał – „nie może być zbyt wielkich różnic, zbyt wysoka klasa: trudno wymyślić coś zaskakującego, jakąś rewelacyjną taktykę, coś, nad czym inni się nie zastanawiali. W gronie najlepszych, choć są tak różni jako ludzie, sposoby, których używają, by wygrać, upodabniają się zaskakująco. Eliminuje się po prostu te, które są mało skuteczne, zostają tylko optymalne”... To uspokoiło go trochę, ale dla pewności włączył stoper, aby złapać orientacyjny czas tamtego: był lepszy! Niewiele, ale wyraźnie lepszy, co potwierdziło się przy dalszych okrążeniach, nie mógł dobiec, na czym to polega, gdzie Vermi zaoszczędza owe setne części sekund, ułamki tak drobne, że nie ma się o nich pojęcia, nie zauważa się ich, a przecież dodające się, sumujące, możliwe do zarejestrowania, sfotografowania, wymierzenia, decydujące o wszystkim. Jeśli dzielić włos na sto, to z tych setnych, zbieranych w ciągu długich godzin wyścigu, można ułożyć grubą belkę. „Jak to jest? – myślał. – Teorety-

cznie da się tu wyciągnąć dwieście czterdzieści na godzinę, więc w ciągu jednej setnej przebywa się trzy czwarte metra, siedemdziesiąt pięć centymetrów, a przy stu dwudziestu – jeszcze prawie pół metra. To nie jest mało, zważywszy, że mrugnienie powiekami zajmuje ładnych kilka setnych, a w tym czasie można już przejechać sporo metrów i wystarczy chwila nieuwagi, zły humor, zacięcie przy gołeniu albo film w telewizji poprzedniego wieczoru, który psuje nastrój, a już setne sypią się jak z rozprutego worka. Wystarczy widok czarnego kota, przebiegającego drogę przed zawodami... Do diabła z tym wszystkim”.

Odwrócił się na pięcie. Vermi jeździł jak maszyna, równomiernie, bez chwili przerwy, na maksymalnej prędkości.

★

– Nic tu po nas – powiedział mechanik – ocierając ręce zaoliwioną szmatą.

– On jest szybszy.

– Nie szkodzi... Liczy się to, czy naprawdę będziesz chciał jutro wygrać.

– Oczywiście!

– Jeśli będziesz chciał wygrać, to wygrasz.

– Tak, ale czy to polega na tym, że się chce?

– Jeśli wszystko jest w porządku, to głównie na tym.

Głębokie cienie popołudnia kładły się na opustoszały tor.

– Idziemy – powiedział mechanik – musisz odpocząć.

★

Teraz wszyscy byli już na swoich miejscach. Widzowie na trybunach: różnokolorowy, podniecony tłum, szumiący gwarem rozmów, zawodnicy zajmowali na parkingu miejsca w maszynach, mechanicy sprawdzali po raz setny ostatnie drobiazgi, słońce stojące w zenicie prażyło nie rzucając cieni, spektakl miał się za chwilę rozpocząć.

– Ladies and gentlemen – rozległ się metaliczny głos spikera. – Już za chwilę, punktualnie w południe, prezes Międzynarodowego Związku Automobilizmu obwieści wystrzałem

z działka rozpoczęcie sześciogodzinnego wyścigu non-stop, zaliczanego do Pucharu Świata, i tym samym otworzy nowo zbudowany wspaniały tor, pozwalający osiągnąć największe prędkości. Być może padnie tu dzisiaj rekord świata, na treningach niektórzy zawodnicy mieli czasy wskazujące, że jest to prawdopodobne, ale przekonamy się o tym dopiero po zakończeniu wyścigu. Nie potrzebuję przedstawiać bohaterów dzisiejszego wyścigu, przypomnę ich tylko. Oto zajmują pozycje startowe; numer 5...

Podjeżdżali kolejno do linii, w miarę jak spiker wyczytywał nazwiska, nie słysząc ich nawet w rosnącym hałasie silników, wypuszczani przez sędziego. Chmurka niebieskiego dymu uniosła się nad torem, zabrział wystrzał, sędzia machnął białą-czarną chorągwią, ryk silników w jednej chwili zagłuszył wszystkie rozmowy.

★

W powietrzu, drgającym od upału, szklącym się wirami oderwanymi od białego pasma betonu, samochody, jak żuki w gorących strugach spalin, jakby zamazane, przyklepione do ziemi, płaskie, tasowały się, wciąż jeszcze w zwartej grupie, przesuwały do przodu, niektóre, z niewiadomych przyczyn, osiągając prawie czoło grupy, zwalniały i dawały się wyprzedzać, obłe, metalowe, jakby owadzie skorupy z odsuniętymi na bok czarnymi odnóżkami kół, połyskujące kolorowymi nadwoziami, rzekłbyś rój oszalałych mechanicznych os, pędzących naprzód, stado bolidów, przemierzających zamkniętą trasę.

Trzymał się za Vermim. „Będę robił to samo, co on, i czekał na okazję”. Na starcie nic nie stracił, ale też nic nie zyskał, nie dziwił się: było za wcześnie, na początku nikt nie popełnia błędów, zwłaszcza kiedy jedzie się z najlepszymi wśród najlepszych. Dopiero później, gdy zaczyna wkraść się zmęczenie, rozluźnia się napięta do granic możliwości uwaga, dopiero wtedy jest szansa wykorzystania jakiejś niedokładności, chwilowej dekoncentracji, a to może zdarzyć się każdemu. Z najlepszymi zawsze wygrywa się trochę przez przypadek

i nigdy nie wiadomo, komu przytrafi się ten niekorzystny przypadek. Jest to jak gra, w której należy strzec się przed popełnianiem błędów i wykorzystywać pomyłki innych.

Za każdym razem, wychodząc z górnego zakrętu, wpadali prosto w oślepiające słońce, wskazujące kierunek i ciągle jeszcze nikt się nie wyłamywał. Na masztach powiewały flagi, ryk silników niósł się nad okolicą, dochodziła pierwsza godzina wyścigu.

★

– Jeszcze wszyscy razem – pasjonował się komentator – niezwykle wyrównana stawka, ale w końcu przecież rozciągną się, jest to ciężka próba dla ludzi i dla maszyn, ale na razie wszyscy wychodzą z niej zwycięsko.

W ciągu drugiej godziny obraz walki zamażał się, podjeżdżali kolejno, by tankować, każdy został sam na sam z torem, z tą rosnącą przed kołami nie kończącą się przestrzenią, z którą walczyli, zdani już tylko na siebie, gdyż współzawodnicy rozciągali się wzdłuż toru i nie wiadomo było, kto jest pierwszy, a kto ostatni.

Brakowało mu obecności rywali, ale wiedział, że teraz zaczynał się drugi akt: samotność. Przyrządy liczyły okrążenia, dudniąca przestrzeń zostawała w tyle, za każdym razem wyjeżdżając w słońce zapytywał się mimowolnie: ile jeszcze?

Słońce przetaczało się denerwująco wolno nad horyzontem, nie zmieniało prawie swego położenia, a on bał się kryzysu, wiedział, że kryzys musi przyjść, chwila wyczerpania, kiedy wydaje się, że to już granica możliwości, że nie zdoła się zrobić następnej rundy, ale przecież robi się ją. A potem znowu przychodzi zryw.

Kątem oka spostrzegł tablicę, pokazywaną mu przez mechanika z wielką cyfrą „2”. A więc był drugi, za Vermim. Niesamowite ułamki sekund, biorące się nie wiadomo skąd, dzieliły ich jednak, zaczynał wątpić, że wygra, i lewy zakręt, wyrastający nieustannie, po każdym okrążeniu, betonową ścianą bandy, napawał go lękiem.

★

Tankował znówu.

– Spokojnie – mówił mechanik – jeszcze się nie zaczęło.

– Nie wiem, czy wytrzymam.

– Nie daj się ponieść nerwom.

Z wszystkich ludzi na świecie został mu ten mechanik, który opiekował się jego samochodem i nim samym, a teraz napełniał bak. Do końca wyścigu miał zostać sam. Wiedział, że to tylko godzina, ale wydawało mu się to nieskończenie długim odcinkiem czasu.

– Jedź – popchnął go tamten – i wygraj!

*

Wychodząc z górnego zakrętu dostrzegł coś niernormalnego przed sobą. Było to przelotne wrażenie, że w mechanicznej doskonałości zabawki coś się zepsuło, zakłóciło jej gładkie funkcjonowanie i zaraz potem zobaczył: samochody kręciły się nieporadnie, wytrącone z rytmu, ustawione bokiem do kierunku jazdy, a on zbliżał się do tego zatoru nieuchronnie. Maszyny rosły w oczach, sytuacja wymknęła się spod kontroli, zdarzenia rozgrywały zbyt szybko, bez żadnego planu, chaotycznie, narastając się, spiętrzały, wiodąc do katastrofy: reakcje ludzi klóciły się ze sobą, były zbyt wolne i sprzeczne.

Wywrócony do góry kołami samochód jednego z zwodników płonął – dostrzegał to pobojowisko kątem oka, ale nie mógł się zatrzymać, gdyż za sobą widział zbliżające się następne samochody. Maszyna tańczyła. Wyprowadzając ją z kolejnego poślizgu, całą uwagę skupił na takim lawirowaniu pojazdu, by przemknąć otwierającą się wolną przestrzenią między innymi, szczepionymi ze sobą i odbijającymi się metalowymi pudłami, tracącymi powoli swój kształt, deformującymi się jak na zwolnionym filmie. Wśród szalejącego zniszczenia wypadł, ocierając się o bandę i sypiąc iskry ze zdartego do żywego metalu nadwozia, ale było to załedwie muśnięcie.

Na trybunach wybuchł krzyk, widział wykrzywioną twarz Vermiego w przewróconym samochodzie, usiłującego wydostać się z płonącej pułapki, i jechał dalej, nie zatrzymując się, jakby uciekał po tej przerażającej taśmie

wijącej się z góry na dół, bez początku i bez końca.

– Na miejscu wypadku jest już ambulans i samochód straży pożarnej – mówił komentator. – Kierowca wyszedł cało, na czele wyścigu jedzie teraz Arno Lewis, nr 15, jedzie samotnie i chyba nic nie odbierze mu zwycięstwa.

Przy następnym okrążeniu widział dźwig, unoszący w górę martwy, czarny szkielet samochodu. Wyścig trwał, słońce drgnęło, zaczęło się wreszcie obniżać.

Znowu, choć nie bez trudu, osiągał tę płynność jazdy, kiedy kształty zamazują się, łączą w jeden ciąg, nie ma zdarzeń, nie istnieje czas, a przestrzeń jest również nieuchwytna, zostaje tylko ruch, to jedno zjawisko pozostaje niezmiennie, rodzaj transu, w który się wpada po długotrwałej jeździe i wydaje się, że można by tak jeździć bez końca. Pozostałe maszyny rozciągnęły się na trasie tak, że był sam. Obserwował pochylające się słońce, przybierające czerwoną barwę, wielką, nierealną tarczę, zakreślającą swój tor, coraz szybciej zmierzającą ku zachodowi. Czuł się znużony, jakaś myśl nie dawała mu spokoju, atakowała wyobraźnię, tkwiła jak drzazga w podświadomości i nie dawała mu spokoju. Co to było – nie wiedział. Dalekie skojarzenie tego właśnie toru z czymś znanym przypominało mu twarz „Przecinka”, nauczyciela matematyki w szkole, tyle że szkoła nie bawiła go długo, wydawało mu się, że jest to też rodzaj treningu na sucho, wołał więc zacząć pracę jako mechanik, a potem, potem został kierowcą wyścigowym. Coś jednak z tamtych czasów utkwilo mu w pamięci i teraz szukało sobie drogi ku powierzchni świadomości. Ten znaczek? Tak, symbol, ale czego?

Na rozlanej plamie oleju, koło miejsca wypadku, przy lewym zakręcie, stracił panowanie nad kierownicą i pędził wprost na bandę... ...Tak, wiedział, jak błyskawica przyszło olśnienie: to była ta leżąca ósemka, wstęga Moebiusa, bez początku i końca, symbol nieskończoności, odwzorowana w kształcie toru. Ale nieskończoność dla ludzi jest inna.

W momencie, gdy uświadomił to sobie, uderzył w bandę, tuż koło miejsca, które na treningu zaznaczył krzyżykiem.